Dodatek do Nr. 46 „Prawdy".

RODZINA
PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 23. Sobota, dnia 14-go Listopada. Rok 1908

KRZYŻ NAD NIEMNEM.

OPOWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.

Szumi błękitny Niemen, szumi i płynie szeroko, potoczyście, wśród pól żyznych, wśród łąk zielonych, wśród puszcz podniebnych. Nad nim mieszka lud cichy, pracowity, pobożny, zamknięty w sobie, miłujący rodzinny szmat ziemi. Przechodził on niedole ciężkie i nędzne i prześladowania, a jednak trwa niezmożony, nieustraszony, pogodny, czerpiąc ukojenie i siłę w modlitwie i wierze gorącej.

Ot, tam, o kilkaset kroków od Niemna, stoi chata wtulona w kępę jodeł; bielą się jej ściany, odbijając od zieleni drzew i zczerniałego, dranicami krytego dachu.

To chata Warłajtysów.

Stary był ród Warłajtysów; szła wieść, że przodkowie ich jeszcze z krzyżakami walczyli, a miano ich w rodzinnej mowie znaczyło tyle, co wojak. To też, choć lata całe siedzieli cicho na rodzinnym zagonie, gdy tylko w kraju zagrała pobudka do wojny, każdy Warłajtys rzucał chatę i szedł bić się — z kim chcesz, byle za kraj! A chatę strzegły kobiety, majątku dorabiały się kobiety. I nie skarżyły się na ciężką pracę, nie wyrzekały, bo od dziecka miały wszczepione w dusze, że dla kraju niema dość wielkiego poświęcenia, dość ciężkiej pracy.

Dziś, choćby najdonioślej grała pobudka, bojowa, żaden Warłajtys nie zerwałby się do broni, bo jedyny męski potomek, Adamek zaledwie trzynaście lat liczy. Mieszka w chacie rodzinnej z matką, siostrą — Marylką i staruszką prababką, co już blizko 90 lat przeżyła.

Warłajtysowa ociemniałą jest od dawna; powiadają, że oczy sobie wypłakała; ale bo też miała w życiu grobów i nieszczęść co niemiara! A gdy ludzie wspominają jej niedolę, zniżają zawsze głos i mówią, jakby z trwogą i nabożeństwem:

— Starego Warłajtysa zabili w 46 roku... Coś się ludziom zaczęło zachciewać, coś zamyślali, coś szeroko roili — zginął. Syn jego, jedyne dziecko Warłajtysowej, zginął przed czterdziestu pięciu laty... powieszony... powieszony w oczach matki. Pochowali go tam na wzgórzu, gdzie dawniej krzyż był, a dziś jeno macierzanka i jałowiec rozpościerają ożywcze wonie. Wnuk to znowu w 1891 roku. Tąk się złożyło... był właśnie w Krożach; popędzono go z innymi nad brzeg Niemna i zepchnięto; poniosły fale ciało, którego nawet nie wydobyto. Tak widocznie sądzone było, aby żaden Warłajtys „swoją śmiercią" nie kończył.

Wieś cała czciła i kochała Warłajtysową; przychodzono do niej po radę i pociechę. Ona dnie całe spędzała na modlitwie, albo, choć ociemniała, przędła kądziel, nucąc pieśni pobożne, cichym, bolesnym głosem. Codziennie tylko, choćby w najgorszą niepogodę, wchodziła na wzgórze, gdzie jałowiec i macierzanka, klękała w miejscu, gdzie dawniej krzyż stał, i trwała tak w modlitwie i rozmyślaniach. Przesądni mówili, że rozmawiała z duchami Warłajtysów.

— Babuniu — odezwał się raz Adamek — jak wy, ociemniała, znajdujecie drogę na wzgórze, gdzie dawny krzyż?

— Siedmdziesiąt lat tam chodzę — odrzekła babka; — jeślim opuściła kilka dni, to tylko wtedy, gdym była ciężką złożona chorobą.

— A czemuście, babuniu, tak sobie upodobali to miejsce? — zapytał znowu.

Staruszka milczała chwilę, potem, wyciągnąwszy ramiona przed siebie, przygarnęła prawnuka i poczęła mówić stłumionym, jakby pozagrobowym głosem:

— Pora już, pora, dziecko, abym ci to powiedziała. Tyś teraz jedyny mężczyzna z rodu Warłajtysów, a ja wiekowa, nad grobem, trzeba, abym ci powiedziała, dlaczego to miejsce czcić musisz i jakie jest co do niego moje jedyne pragnienie. Już blizko lat 70, kiedy mnie pradziadek twój z moich rodzinnych Wiskitek tu przywiózł. Zanim do chaty mnie wprowadził, wprzód na to wzgórze przywiódł, gdzie wówczas stał krzyż wysoki z postacią Chrystusa, w wielu miejscach głębokiemi brózdami pocięty. — Patrz, Marto, powiedział mi, ten krzyż stoi 200 lat, każdy Warłajtys żonę tu przedewszystkiem po błogosławieństwo przywodził, tu nowonarodzone dziecię z modlitwą przynosił, tu, przed wojną, o ten krzyż święty szablę zacinał.. Widzisz te cięcia?... Szanuj ten krzyż i to miejsce, bo to jak nasza świątynia gdy kościół mamy tak daleko. Bóg świadkiem, żem krzyż szanowała i gdy mój zginął,

gdym została sama w chacie z małemi dziećmi, szanowałam go; codziennie z modlitwą szłam do stóp jego, latem zawsze dzieciom w świeże kwiaty stroić kazałam i choć ciężko mi wtedy było, zapłaciłam majstrowi z miasta, aby pomalował i sztachetkami otoczył. I zechciał Bóg, że mimo starań, mimo zabiegów, krzyż padł a że wewnątrz zmurszały był, w prochno się rozsypał. Postawić nowego krzyża nie dali. Com się naprosiła, com nachodziła, ilem pieniędzy na starania i marki straciła!... Odmówili. Trzydzieści pięć lat chodzę modlić się na to wzgórze, pod kolanami memi mam święte prochy mego syna-męczennika, ale nad sobą nie mam świętego krzyża, nie mam do czego przytulić się, jak dawniej, nie mam do czego piersią przypaść, na co łez mych wylewać!... I wtedy, gdy mi o śmierci twego ojca powiedziano, tom poszła tam, alem jeno na twardą ziemię się rzuciła, piasek jeno łzy moje pił, trawą od westchnień mych usychała. To tobie, dziecko moje, jak Bożą wolę przykazuję, szanuj to miejsce i jeżeli czasy się zmienią, jeżeli nowy krzyż postawić będzie wolno, uczyń to, uczyń, nie zwlekając. Choćbyś na to ostatni grosz z chaty miał dać, sprzedać ostatniego konia, lub bydlę, choćbyś zboże, do siewu ostawione, sprzedać miał — postaw! Gdybyś pieniądze na wesele przeznaczył — zaniechaj wesela; choćby na mój pogrzeb — zanieście mnie w czterech deskach, jeno modlitwę nad grobem wygłoście, a krzyż niech stanie.. Zrobisz tak, Adamek?

Chłopiec zgrzybiałą rękę prababki do ust podniósł, i odrzekł z prostotą:

— Zrobię, babuniu!

Wracał Adamek na letnie wakacye, na pierwsze wielkie wakacye ze szkoły, z dobrą cenzurą, z dobrą miną. Matka powitała go łzami radości, babka do piersi, milcząc, przytuliła. Chłopiec zauważył, że staruszka bardzo się zmieniła przez tych kilka miesiecy; pochyliła się jeszcze mocniej, ręce jej i głowa trzęsły się nieustannie.

— Babunia i teraz codzień na wzgórze chodzi? — zapytał Adamek Marylkę.

— Tak, ale teraz ja ją tam prowadzam; samej ciężko chodzić staruszce.

— Marylka, wiesz, ja babuni taką radość gotuję, że zapomni o tych łzach, któremi oczy wypłakała.

— No, co to takiego? — zapytała zaciekawiona Marylka.

— Wy tu żyjecie bez wieści, co się na świecie dzieje, a choć dowiecie się o czem-niebądź, to dopiero w kilka tygodni po fakcie, więc też nie wiecie jeszcze i tego, że teraz wolno, gdzie chcieć stawiać kościoły i krzyże. Ja dowiedziałem się o tem, zeszłego tygodnia.

— Ale, czy to pewne, Adamek?

— Jaknajpewniejsze; wszystkie gazety pisały. To zaraz postanowiłem, że na wzgórzu babuni stanie krzyż według jej woli. O drzewo łatwo, matka nie będzie miała nic przeciw temu, że jedną sosnę się zetnie, sam drzewo obrobię i wkopię, tylko o figurę idzie.

— A tak, skąd jej weźmiesz?

— Figurę już mam, chodź, zobacz!

Zaprowadził ją na poddasze, gdzie zaraz po przyjściu złożył pakunek w rogoży.

— Nie rozpakuję jej teraz, zobaczysz, gdy już będziemy do krzyża przybijali. Taki tam Chrystus, jak żywy; twarz cudna, słodka, głowa chyli się w cierniowej koronie, z pod której krew kropelkami spływa.

— Skądżeś ty to dostał?

— Kupiłem.

— A skąd miałeś pieniądze?

— O, pieniądze!.. Na taką rzecz pieniądze muszą się znaleźć! Mama przysłała mi na buty; nie kupiłem; czy to ja całe lato nie mogę boso chodzić, czym to nie chłop?... Te pieniądze użyłem na zadatek. Rzeźbiarz, który robił figurę, poczciwy i grzeczny, zaufał memu słowu, że zapłacę resztę po powrocie z wakacyi i pozwolił mi ją zabrać.

— A skąd potem będziesz miał pieniądze? Mamę poprosisz?

— A cóż to nie będzie żniw?.. nie będzie młocki?... niema dworu?!... Najmę się do roboty, będę pracował dzień w dzień, aż zarobię... Dwanaście rubli mi potrzeba.

— I zarobisz tyle?

— Zarobię!

— Co za szczęście! Pójdę, powiem o tem babuni.

— Daj pokój, Marylko! Babunia się dowie dopiero, gdy krzyż stanie, gdy go własnemi rękami namaca, własnemi ramionami obejmie. Będzie to tem większa dla niej radość. A najlepszy na tę uroczystość będzie dzień 29 lipca, bo to rocznica śmierci dziadka.

— Masz racyę, Adasiu!

Nazajutrz zabrał się Adamek do roboty. Od rana do zachodu słońca kopił dworskie siano, po powrocie do domu zaś, zjadł jaknajprędzej kolacyę i zaraz zabrał się z wiedzą matki, do ścinania wysokiej sosny, co rosła na granicy ich gruntu. Mozolił się srodze, ręce opadały mu ze zmęczenia, ale pracował wytrwale, niemal z zawziętością. Księżyc był wysoko na niebie, gdy z przeciągłym jękiem i trzaskiem łamanych gałęzi, padła stara sosna, co krzyżem miała zostać.

Następnych dni każdą wolną chwilę spędzał Adamek przy obrabianiu drzewa. Pomagała mu w tem, o ile sił starczyło, Marylka. Czasem który z sąsiadów przyszedł pomódz dzielnemu chłopcu, to też robota szła żywo i w dwa tygodnie po rozpoczęciu na biało malowanym krzyżu przybito postać Zbawiciela... Nazajutrz miano wkopać go na pamiątkowem wzgórzu. Adamek prawie nie spał tej nocy, tak był wzruszony. Wstał ze świtem z postanowieniem, że nie uda się do żniwa, a dzień spożytkuje na postawienie krzyża, tak, aby babka, przyszedłszy na swe wzgórze, jak zwykle przed wieczorem, zastała już tam tę wielką niespodziankę. Zbudził Marylkę. Oboje wyszli przed chatę. Świat zdawał się mienić tęczowemi kolorami we mgle porannej, rozbrzmiewać chórem ptasząt.

— No, trzeba krzyż zanieść! — rzekł Adamek. — Wkopanie go i otoczenie sztachetkami dosyć czasu nam zabierze. Weź, Marylko, z tamtego końca!

Dzieci schyliły się, objęły drzewo krzyża, ale ledwo uniosły, upuściły znowu na ziemię.

— Zaciężki! — szepnęła Marylka.

— Nie damy rady we dwoje!

— Trzeba mamę poprosić do pomocy.

— Mama teraz nie będzie miała czasu... musi śniadanie gotować dla czeladzi.

— To po śniadaniu.

— Stracimy blizko dwie godziny.

— A co robić?

— Tracić czasu nie możemy; muszę skończyć na tę godzinę, w której babunia wychodzi na wzgórze... Przecież to dzisiaj... rocznica.

— To spróbujmy jeszcze; może poradzimy!...

— Daj pokój, mam inną myśl — o, patrz.. Nastka Połajtysów już stoi przed chatą. Mateuszek też pewnie już wstał. W podwórzu u Kełbszów kręcą się — zawołamy Władka i Martę, tamtych także. W sześcioro poradzimy.

— Masz racyę! Biegnij do Kełbszów, a ja skoczę po Nastkę i Mateuszka.

W kilka chwil potem sześcioro dzieci z powagą i namaszczeniem niosło wielki krzyż na zielone wzgórze. Zdaleka w swych jasnych płótniankach, dźwigające na ramionach krzyż biały, wyglądały, jak nadziemskie zjawisko. Ludzie, idąc do roboty, przystawali, odkrywali głowy i szeptali wzruszeni:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A inni dodawali:

— Szczęść wam, Boże!

A inni jeszcze:

— Panie Boże, wam zapłać! Stanie to, stanie ta Boża męka, to ukojenie, ta pociecha, będzie gdzie iść, gdy do kościoła tak daleko. Panie Boże, wam zapłać, dzieci!

Raźno przez dzień cały szła robota na wzgórzu. Najciężej przyszło wkopanie krzyża i ubicie przy nim ziemi, tak, aby nie groził upadkiem. Potem opłynęły nieraz, zanim dokonały trudnego dzieła. Stawianie sztachetek szło już śpiewający. Podczas, gdy chłopcy wykończali je, dziewczęta skoczyły w pole po kwiaty na wianki; a moc maków i bławatków, ostróżek i rumianków pstrzyła się wśród nieskoszonych jeszcze owsów i pszenicy. Otoczono girlandą kwiecia krzyż jak najwyżej. Praca była skończona. Dzieci, nie umawiając się wcale, z przyrodzonego instynktu, uklękły i zmówiły krótkie, serdeczne „Ojcze nasz".

A teraz chodźmy po babunię! — rzekł wzruszonym głosem Adamek. Zdaje się już można?

— Można — szepnęła Marylka.

* * *

Słońce, kłoniąc się ku zachodowi, obejmowało gorąco, pieszczotliwie, postępującą gromadkę. Warłajtysowa, ubrana jaskrawo, po staroświecku, szła wsparta na ramieniu Marylki, która co chwilę podnosiła ku niej swą płową główkę, mówiąc pieszczotliwie:

— Babuńku, babuńkę dziś radość spotka.

A staruszka głową trzęsła jeszcze mocniej jak zazwyczaj.

— Moje szczęście po za grobem, po za grobem się znajdzie.

Adamek postępował z drugiej strony z matką, która musiała wciąż go powstrzymywać, chciał bowiem biedz nieledwie, tak mu pilno było pokazać już swoje dzieło.

Za nimi szła gromada ludzi, nieledwie wieś cała. Zbliżyli się do wzgórza.

— Co to dziś ścieżka tak udeptana? — rzekła Warłajtysowa. Ludzie widać tu chodzili... Czyżby o moim starym pamiętali?

— Pamiętają go i pamiętać będą, babuńku!

— Słyszę, jakby za nami dużo ludu szło, jak wtedy, gdyśmy Jana tu chowali.

— Nie na pogrzeb dziś idą, babuńku — na wesele.

— Woń jakichś innych kwiatów od wzgórza dziś płynie, nie sama macierzanka i jałowiec... pachną chabry i melissa i koniczyny.

— Bo tam dziś kwiecia wiele, babuńku!

— Kto je zaniósł?

— Cała wieś.

— Wszak dziś nie święto?

— Święto, babuńku, wielkie święto dla całej wsi.

— Święto... dla wsi?...

Wstępowały na wzgórze. Niewidoma, jakby ożywiona mocą wspomnień, upojona niezwykłą wonią kwiecia, głowę podniosła, uchylonemi wargami piła ną cudną falę, płynącą od wzgórza i szła wyprostowana, z rękoma wyciągniętemi przed siebie, jakby jej kilkanaście lat ubyło. Weszła w otwartą bramkę ogrodzenia; suknia jej otarła się o sztachetki. Drgnęła, rękę wyciągnęła na prawo, potem na lewo, wyczuła sztachetki.

— Sztachetki — szepnęła — sztachetki..... jak dawniej...

— Idźcie dalej, babuńku! — szepnął zdławionym głosem Adamek i ujmując jej dłoń, złożył na krzyżu.

Wyraz nieopisanego zdumienia odbił się na zgrzybiałej twarzy staruszki; dotknęła krzyża obu rękami, potem posuwać je zaczęła wzdłuż i wszerz drzewa, wznosząc je wyżej i wyżej, aż uczuła przebite stopy Chrystusa pod swemi palcami. Wówczas otoczyła ramionami krzyż, ustami przypadła do stóp Zbawicielu, a krzyk nieopisanej radości wydarł się z jej piersi.

— Krzyż!... krzyż!... tu!... na mojem wzgórzu!

Usunęła się na ziemię i nie wypuszczając krzyża z ramion, płakała głośno, płaczem niepohamowanej radości.

— Kto, kto ten krzyż postawił?

— Adamek swojem staraniem i swoim kosztem — odezwała się matka, szlochając z rozrzewnienia.

— I nie zabiorą nam go?

— Nie zabiorą, babko!

— Boże, błogosław ci, dziecko moje, za tę pociechę, którą dajecie mi przed śmiercią. Boże, błogosław was, dzieci, w szczęściu, w pracy, w zamiarach. Wzrastajcie w łasce u Boga i ludzi!...

* * *

I długo, długo modliła się pod krzyżem staruszka, a łzy rozrzewnienia i wdzięczności spływały jej z oczu.

— O, Boże! — szeptała — dzięki ci, Wielki Boże, że wracasz nam nasze krzyże...

Marya Bogusławska.

Niektóre przepisy hygieniczne na zimę.

W czasie zimowym najwięcej popełniamy błędów przeciw hygienie. Do najpospolitszych należą następujące:

1) Unikanie świeżego powietrza z obawy zaziębienia. Powietrze zimowe jest o wiele zdrowszem niż w letniej porze, gdyż mróz niszczy znaczną część bakteryi czyli drobnoustrojów, maleńkich żyjątek, będących zarodkami różnych chorób. Wciągając w płuca mroźne zimowe powietrze — nie ustami, lecz nosem! — czujemy wyraźnie orzeźwiającą jego świeżość i jakoby zapach czystości. Nie jest to bynajmniej złudzeniem.

Używajmy więc zimowego powietrza codziennie, nawet wśród silnych mrozów, przyzwyczajmy dzieci nasze, aby nie obawiały się zimna, lecz po obiedzie pobawiły się choćby krótki czas na dworze — a przekonamy się, jak będą rumiane, wesołe, zahartowane i niewrażliwe na zaziębienie. Najlepszym bowiem sposobem rozgrzania jest ruch na świeżem powietrzu.

Nie zimne powietrze jest szkodliwe, jak mylnie sądzi wielka część ludzi, lecz brak odporności naszego organizmu.

2) Siadanie bezpośrednio przy piecu jest zwyczajem bardzo nagannym. Piec ogrzany wydziela w pobliżu większą daleko ilość ciepła niż w dalszej części pokoju, a zatem osoby siedzące lub stojące przy piecu, zostają nadmiernie rozgrzane i wychodząc w tym stanie do sieni lub na dwór, na pewno się zaziębią, gdyż wydelikacony ciepłem organizm nie może się oprzeć wpływowi zimna. Następstwem takiego rozgrzewania bywają katary, kaszle, bóle gardła.

I dzieciom nawet młodszym niech rodzice nie pozwalają siedzieć przy piecu, lecz na środku pokoi przy stole, gdzie mogą się zająć czemś pożytecznym.

3) Sypianie w ciepłych pokojach nie jest bynajmniej potrzebnem do zdrowia. Przeciwnie, doktorzy usilnie polecają sypianie w zimnych lub mało ogrzanych pokojach, a to dlatego, że jak już wyżej zaznaczyłam, zimne powietrze czystszem jest niż ogrzane. Nawet przy otwartem oknie możnaby spać w zimie, będąc dobrze okrytym.

W Zakopanem i innych lecznicach zimowych pacyenci leżą na otwartej werendzie okryci grubymi kocami i wciągają świeże ożywiające i absolutnie czyste powietrze.

4) Ogrzewanie pokoi do temperatury o 15 do 16 stopniach R. sprawia właśnie owo wydeliktacenie organizmu, będące powodem wielkiej wrażliwości na zimno. Pokój ogrzany do 13 stopni jest przyjemnie i wystarczająco ciepły.

Ogrzewanie pokojów pochłania całkowicie wilgoć powietrza, tę własność cenną dla naszego zdrowia. Stąd też polecenia godnem jest stawianie w pokoju misek z wodą, która ulatniając się, wytwarza wilgoć w powietrzu.

PRAKTYCZNE RADY.

Tępienie świerszczów w domach

da się w obecnej porze dokonać bardzo łatwo, potrzeba tylko małą wiązkę grochowin świeżych położyć na środku kuchni wieczorem i pozostawić tak kilka godzin, a przed świtem zebrać wiązeczkę skoro, wraz z mieszczącymi się świerszczami schować ją do przygotowanego naczynia, najlepiej beczułki, nakryć szczelnie, aby się świerszcze nie rozłaziły, a następnie gdy już się zagotuje ukrop, należy świerszcze nim zalać na śmierć. Często także pojawiają się w wielkiej liczbie w kuchniach karakony, szwaby, prusaki, okolicami różnie nazywane, a ogólnie znane, bo dokuczają gospodyni nadmiernie. Niektóre z nich można tępić podobnie jak powyżej przy tępieniu świerszczów wskazano, lecz ponieważ dziś w każdym nieledwie domu znajduje się miednica emaliowana, a powinna ona być gładką i nieporysowaną, urządza się z tej miednicy łapkę na robactwo, nalewając na dno piwa, zakwasu chlebowego, rozrzedzonego wodą, lub resztki jakiejbądź polewki. Miednicę ustawia się w kuchni, lecz aby do niej robactwo z łatwością wchodzić mogło, obściela się ją szmatami lub obsypuje piaskiem tak wysoko, ażeby piasek równał się z brzegiem miednicy. Robaki wchodzą do przynęty, lecz wyjść z gładkiej miednicy nie mogą, bo się ślizgają. Niewolników takich należy rano sparzyć ukropem lub spalić.

Badanie świeżości jaj.

W sposób bardzo prosty można zbadać świeżość jaj. W tym celu należy przyrządzić rozczyn 120 gr. soli kuchennej w jednym litrze wody. W ten rozczyn wpuszcza się jaja. Jajko z tego samego dnia tonie i osiada na dnie; jajko z przeszłego dnia tonie wprawdzie, ale nie opada na dno, a przynajmniej nie leży na niem stale oparte. Trzydniowe jaja pływają po środku płynu; pięciodniowe pozostają tuż pod powierzchnią; starsze wychylają się nad powierzchnią i to tem bardziej, im są starsze.

FRASZKI.

JEST RADA.

— Żona pańska powinna używać wiele ruchu.

— Tak, panie doktorze, ale co mam zrobić, kiedy nie chce wyjść na krok z domu?

— Daj jej pan pieniędzy na suknię i kapelusz, a zobaczysz, jak będzie biegała po składach.

DOBRE SERCE PIJAKA.

Bartłomiej Pijacki wychyla już szósty potężny kufel, żona, chcąc go wydostać do domu, perswaduje mu. że ma pamiętać o tem, iż ma siedmioro dzieci. Bartłomiej wtedy na to:

— Masz racyę, żonko, trzeba wypić na zdrowie tego siódmego robaczka, żeby się nam dobrze chował... Dajcie jeszcze kufel!

NIEZAWODNY ŚRODEK.

Pacyent: Panie konsyliarzu, strasznie źle sypiam! Najmniejszy szelest mnie obudzi, choćby ta oto kotka przeszła przez pokój.

Lekarz (podając receptę): Ten proszek będzie skuteczny raz na zawsze.

Pacyent: Jak go mam zażywać?

Lekarz: Pan nie, broń Boże! ale wsyp go pan kotce do mleka.

Nakładem redakcyi „Prawdy". Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.